



ROBERT GOOLRICK

ŻONA GODNA
ZAUFAANIA

Przełożyła
Anna Skucińska

FRAGMENTY KSIĄŻKI



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

Tytuł oryginału angielskiego
A Reliable Wife

ROZDZIAŁ PIERWSZY



© 2009 by Robert Goolrick. All rights reserved.

© Copyright for the Polish edition

by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2010

© Copyright for the Polish translation by Anna Skucińska, 2010

Cover images: Steve Gardner/Pixelworks Studio, Shutterstock.com

Premiera książki: *czerwiec 2010*



02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel.: 022 643 93 89, 022 331 91 49, faks 022 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel.: 022 331 91 55, tel./faks 022 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel.: 022 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl www.wnk.com.pl

(...)

Trzymał w dłoni list. Znał go na pamięć.

Szanowny Panie,

jestem prostą, uczciwą kobietą. Wiele podróżowałam z ojcem po świecie. W swojej pracy misyjnej widziałam świat takim, jaki jest, i nie mam złudzeń. Widziałam ubogich, widziałam bogatych i nie dostrzegam pomiędzy nimi żadnej różnicy: bogaci i ubodzy są równie wygłodniali. Są głodni Boga.

Widziałam toczącą nas śmiertelną chorobę. Widziałam, co świat uczynił światu, i nie potrafię dłużej żyć w świecie. Wiem, że nic na to nie poradzę i że Bóg też nic na to poradzić nie może.

Nie jestem już młoda. Całe życie byłam córką i dawno porzuciłam nadzieję na zamążpójście. Wiem, że nie ofiarowuję Pan miłości – a ja bym jej nie szukała – lecz dom, i przyjmę Pańską propozycję, bo niczego więcej nie pragnę. Nie znaczy to, że nie ma ona dla mnie wartości. Przeciwnie: więcej dobroci i życzliwości pragnąć nie można. Dom jest wszystkim w porównaniu ze światem, jaki widziałam, i jeśli mnie Pan zechce, przyjadę.

Do listu dołączyła fotografię. Czuł pod kciukiem poszarpaną krawędź zdjęcia, gdy uchylał kapelusza przed

kolejnym mieszkańcem miasteczka, i dostrzegł kątem oka, jak taksuje on wzrokiem wytworny, choć stonowany czarny garnitur, solidne buty i płaszcz z futrzanym kołnierzem. Głodził kciukiem jej twarz. Wciąż widział te rysy, ani ładne, ani brzydkie. Wielkie jasne oczy spoglądały otwarcie w obiektyw. Miała na sobie nijaką sukienkę z prostym kołnierzykiem – zwykła kobieta, która tak bardzo potrzebuje męża, że zgadza się poślubić nieznanego człowieka starszego od niej o dwadzieścia lat.

Nie odwzajemnił się fotografią, ale też o nią nie prosiła. Posłał jej bilet, adresowany na pensjonat chrześcijański, w którym się zatrzymała w brudnym, wrzaskliwym Chicago, i oto stał tutaj, bogaty człowiek na peronie małego miasteczka w surowym klimacie Wisconsin na początku zimy 1907 roku, wypatrując pociągu, który przywiezie Catherine Land.

Ralph Truitt czekał już długo. Mógł poczekać jeszcze trochę.

ROZDZIAŁ DRUGI



CATHERINE LAND SIEDZIAŁA PRZED LUSTREM, rozstając się z samą sobą. Życie nie pozostawiło w niej miejsca na litość.

„Jestem kobietą, która chce znać zakończenie – pomyślała, wpatrzona w swoją twarz w rozchybotanym lustrze. – Lubię wiedzieć, jak zakończy się opowieść, jeszcze zanim się rozpocznie”.

Catherine Land lubiła początki. Любиła zapowiedź pustego pokoju, pierwszy pocałunek, pierwszy zamach na cudzą własność. I zakończenia. Dramat tłuczonego szkła, martwego ptaszka, łzawe pożegnanie, straszne ostatnie słowo, którego nie można cofnąć ani wymazać z pamięci.

Kłopoty miała ze środkiem. A teraz, pomimo całego pędu naprzód, właśnie znajdowała się w środku. Początki były słodkie, zakończenia na ogół gorzkie, środek natomiast przypominał rozpiętą pomiędzy nimi linę.

Krajobraz umykał za oknem – pozioma płaszczyzna śniegu. Pociąg szarpał, więc chociaż trzymała głowę nieruchomo, jej kolczyki kołysały się, połyskując.

Przysłał po nią prywatny wagon z salonem, sypialnią i światłem elektrycznym. Nie widziała innych pasażerów, z pewnością jednak musieli być w pociągu jacyś podróżni. Wyobrażała sobie, jak siedzą spokojnie na swoich miejscach wypchanych szarym końskim włosiem, pokrytych bladą skórą. Jej wagon wypełniały czerwone aksamity, lambrekiny i falbanki. „Jak w burdelu – pomyślała. – Jak w burdelu na kołach”. (...)

Mimo wszystko czuła niepokój. Nerwowo rozważała możliwe rozwiązania, wracała myślami do burzliwej

przeszłości, która doprowadziła ją tutaj, do tego luksusu na kołach pomiędzy początkiem a końcem.

Tak wiele musiało zdarzyć się pośrodku. Chociaż przemyślała wszystko, zachowywała ostrożność. Można było przecież stracić równowagę, orientację. Wszystko mogło się wydać. Środek zawierał zawsze wydarzenia niezaplanowane i właśnie one ją teraz martwiły, o czym dawały znać delikatne fioletowe cienie pod migdałowymi oczami.

Miłość i pieniądze. Nie mogła uwierzyć, że jej życie – bez względu na to, jak bezpłodne i bezcelowe było dotąd – zakończy się bez miłości i bez pieniędzy. Nie mogła, nie chciała pogodzić się z tą myślą, bo to by oznaczało, że koniec właśnie nastąpił.

Nie wahała się, była zimna jak stal. Wiedziała, że musi zdobyć te dwie rzeczy niezbędne do przetrwania. Przez lata wierzyła, że wszystko przyjdzie w swoim czasie. Wierzyła, że anioł zstąpi z nieba i obdarzy ją bogactwem, tak jak obdarzył ją urodą. Wierzyła w cuda. A raczej wierzyła w nie dawniej, aż osiągnęła wiek, w którym nagle zrozumiała, że przeżywane przez nią życie jest w istocie jej życiem, że innego nie będzie. Glina, z jakiej została ulepiona, tak długo plastyczna, miękka, nie wiedzieć kiedy uformowała się, stwardniała w niezmienny kształt, w skorupę. Odkrycie to było dla niej wstrząsem. Wtedy i teraz. Zupełnie jak uderzenie w twarz.

(...)

Zamieszczone przez Ralpa Truitta ogłoszenie zobaczyła przed sześcioma miesiącami, gdy siedziała przy stole z niedzielną filiżanką kawy i gazetą.

PRZEDSIĘBIORCA Z PROWINCJI
SZUKA ŻONY GODNEJ ZAUFANIA.
KIEROWANY PRAKTYCZNYMI,
NIE ROMANTYCZNYMI WZGLĘDAMI.
ODPOWIEDZI LISTOWNE.
RALPH TRUITT.
MEJSCOWOŚĆ TRUITT, WISCONSIN.
ZAPEWNIAM DYSKRECJĘ.

„Żona godna zaufania”. Było to coś nowego, coś, co wywołało uśmiech Catherine. Czytała już tysiące podobnych ogłoszeń. Zabijała nimi czas, jak robieniem na drutach. Pochłaniały ją te anonse, samotni mężczyźni wołający z rozległych pustkowi prowincji, a niekiedy kobiety, proszące o siłę, cierpliwość, życzliwość lub jedynie uprzejmość.

Naśmiewała się z ich historii, z ich żalostnej desperacji. Szukali i zapewne znajdowali kogoś równie jak oni samotnego i zrozpaczonego. Czy mogli oczekiwać czego więcej? Chromi i kulawi wzywający bezradnych i ślepych. Uważała, że to komiczne.

Mimo wszystko przypuszczała, że dzięki owemu nieśmiałowemu wołaniu ci mężczyźni i te kobiety znajdują się

bie nawzajem. Znajdują, jeśli nie miłość lub pieniądze, to w każdym razie inne życie, którego mogą się kurczowo uchwycić. Ogłoszenia matrymonialne były drukowane co tydzień. Ci ludzie nie zgadzali się na samotność. I może w końcu zdobywali – przynajmniej część z nich – los, z którego byli bardziej zadowoleni.

Poprzedniej nocy, tuż przed zaśnięciem, ujrzała samą siebie jakby z góry, z powietrza: leżącą w łóżku, otoczoną chłodem samotności i śmierci. Czuła wtedy – teraz zresztą też – że umrze, jeśli nie znajdzie się ktoś, kto dotknie jej z czułością. Kto wyciągnie ją z jej okropnego życia.

Odpowiedziała na zwięzłe ogłoszenie Ralpa Truitta niosące obietnicę początku, może nienadzwyczajnego, ale zawsze początku. „Jestem prostą, uczciwą kobietą” – napisała. Przysłał odpowiedź zwrotną pocztą. Przez całe upalne lato wymieniali listy, zdawali ostrożne relacje ze swojej przeszłości. Jego charakter pisma był mocny i stanowczy, jej – elegancki (przynajmniej miała taką nadzieję) i uwodzicielski. W końcu załączyła fotografię. Odpowiedział wtedy bardziej obszernie, jakby między nimi wszystko już było ustalone. Udawała wahanie, aż zaczął nalegać i przysłał bilet na pociąg, którym miała przyjechać, by zostać jego żoną. (...)

Pół godziny. Wstała od toaletki, zsunęła czerwone jedwabne pantofle i ustawiła je równo. Rozpięła i zrzuciła wyszywany żakiet kostiumu podróżnego. Zdjęła jedwabną bluzkę i czerwoną aksamitną spódnicę. Rozsupłała

sznurówki haftowanego gorsetu i strząsnęła go z siebie. Nagle poczuła się lekko, jakby miała ulecieć w powietrze, nad cały ten zalew karmazynowego aksamitu.

Nadal patrzyła w lustro. Przez chwilę widziała swoje odbicie od szyi w dół. Nie był to nieprzyjemny widok. Lubiła własne ciało, jak wiele kobiet, i patrzyła na nie bezstronnie niczym na przedmiot w sklepowej witrynie, orientując się doskonale w surowcu, za pomocą którego tysiące razy osiągała swój cel. Codziennie pracowała nad surowcem swojego ciała, formowała go, ozdabiała, tak że stawał się spotęgowaną wersją jej samej, wersją, która miała przykuwać uwagę.

Nigdy więcej.

Schyliła się, zgarnęła ubrania i jedwabne pantofelki, a potem związała w zgrabny tobolek. Podeszła do okna i otworzywszy je, wyrzuciła kosztowne stroje w ciemność wypełnioną turkotem kół. Zaczynał sypać śnieg. Gdy wreszcie nadejdą wiosenne miesiące, jej piękne stroje będą szerniały ruiną.

Z półki nad głową ściągnęła podniszczoną szarą walizkę i wyjęła zgrzebną suknię z czarnej wełny, jedną z trzech, w jakie się zaopatrzyła. Usiadła ponownie przed lustrem i naderwała ścieg przy rąbku tkaniny. Zdjęła biżuterię: bransoletkę i kolczyki z granatami – jarmarczne świecidełka – po czym zawinęła je w cienką chusteczkę, nadal pachnącą męskimi perfumami. Dołączyła do nich delikatny pierścionek z brylantem, a zawiniątko wsunęła pod rąbek sukni.

Zręcznie nawlekła igłę i zaszyła biżuterię w materiał. Błyskotki, choć mało wartościowe, przypominały o dawnym życiu. Były jej zabezpieczeniem, biletem powrotnym z nocy, gdyby noc istotnie miała zapaść. Były niezależnością.

Gotowe. Włożyła suknię i zapięła trzynaście guziczków. Teraz nie miała już innych ubrań. Tę sukienkę uszyła sama, tak jak nauczyła ją matka. Bez gorsetu była dziwnie lekka. Szybko skończyła się ubierać.

Znała wszystkie szczegóły swojego wymyślonego życia. Powtarzała je sobie godzinami i miesiącami. Sposób wyrażania myśli. Fałszywe wspomnienia. Ulubione melodie. Mając tak niewiele własnej osobowości, łatwo zmieniła tożsamość. Jej nowe wnętrze było równie puste jak poprzednie, ale nie mniej rzeczywiste.

Rozpuściła włosy i ciemne loki otoczyły jej twarz. Ściągnęła je mocno do tyłu, aż zabolą ją oczy, i upięła na karku w nieduży, schludny kok.

Ponownie przejrzała wspomnienia odpływające już razem z jej prawdziwą przeszłością. Żołnierz w powozie. Matka umierająca, gdy wynurzała się z niej maleńka Alice. Tęcza. Zebrała to wszystko i zaszyła tak starannie jak biżuterię w rąbku sukni, musiała bowiem wymazać zawilość swoich wcześniejszych dróg, by przyswoić sobie prostotę drogi, na którą wstępowała.

Była prostą, uczciwą kobietą pośród nieoczekiwanego przepychu prywatnego wagonu. Dziewczynką w białej

sukienke, siedzącą między matką a mężczyzną, którego nie znała.

Catherine Land czekała nieruchomo, aż pociąg zwoolnił i stanął. Steward wszedł do przedziału i zdjął z półki walizkę. Dostał napiwek, za duży, i posłał jej uśmiech.

Nadal wpatrywała się w lustro. Nie mogła, nie chciała żyć bez pieniędzy i bez miłości. Ralph Truitt obiecał nieśmiało w ostatnim liście, że podzieli się z nią swoim życiem, a ona zamierzała przyjąć jego propozycję. Znacznie lepiej niż on wiedziała, co zdarzy się później.

Wstała, narzuciła na ramiona czarną misjonarską pelerynę i opuściła przedział, cicho zamykając za sobą drzwi. Nie czuła zdenerwowania. Przeszła korytarzem. Na metalowych schodkach ujęła dłoń stewarda w kłębach pary i wstydliwie, z gracją, zstąpiła na peron na spotkanie Ralpha Truitta.

ROZDZIAŁ TRZECI



ZESZŁA W ŚNIEG, w wirującą porywistą zamieć, która oślepiła i ołśniewała. Powietrze na peronie ciemniało i zarazem jaśniało od śniegu, otaczając Catherine aurą ruchomego światła. Nieznajomi przemykali tu i tam, witali się, całowali, podnosili walizy i kufry, osłaniali dzieci

przed zadymką. Śnieg zacinął poziomo, tworząc tumany białego pyłu wokół idących spieszenie postaci, i wlatywały w czarną nicość. Jakby nie miał końca.

Sądziła, że go nie rozpozna, póki nie pozostaną we dwoje na opustoszałym peronie, lecz myliła się, oczywiście. Twarz bez wzajemności, oddzielona od falującego morza ludzi. Poznała go od razu. Wydawał się tak bogaty i samotny.

Nagle poczuła strach. Wcześniej nie przyszło jej do głowy, że będą musieli rozmawiać; wymienią powitania, naturalnie, nie zastanawiała się jednak, co dalej. Teraz owo „dalej” stało się niewyobrażalnie długie: morze słów stanowiące – jak przypuszczała – małżeńską codzienność, szczegóły, negocjowanie, mocowanie się i dopasowywanie, wszystko to, co robili mężowie i żony.

Bo wyjdzie za niego, oczywiście. Obiecała i dotrzyma obietnicy. Ale co potem? Czym wypełnić dni, rutynę posiłków, domowych obowiązków, każdą godzinę?

Początki były na ogół tak czarujące, a teraz przecież mogła jedynie stać, zastygła z lęku. Jeśli zachoruje, zapewne będzie się nią opiekował. Będą rozmawiać o cenach towarów. Jego ubranie wyglądało na kosztowne, ale okaże się oszczędny. Będzie prosiła go o pieniądze i je dostanie, zapłaci za towary i opowie mu, co kupiła. Będą rozmawiali o tym przy obiedzie, który dla niego ugotuje. Będą rozmawiali o pogodzie, rozważając każdą jej zmianę, lub wspólnie czytać przy ogniu w długie wietrzne

wieczory. Zapewne będą robili i mówili to, co robią i mówią ludzie w ich położeniu, lecz nagle zrozumiała, że nie wie, co robią i mówią tacy ludzie.

W wagonie kolejowym, podczas podróży z Chicago, wszystko było wyraźne, miało ostre kontury. Tutaj, w śnieżnej zamieci, krawędzie się zacierały, kształty zamazywały, poczuła więc strach. (...)

Podeszła do niego. Stał z rękami w kieszeniach długiego czarnego palta z futrzanym kołnierzem skrzyżującym się od śniegu. Ledwie widziała jego twarz. Wydawał się... smutny? Miły? Przed wszystkim samotny.

Czuła się śmieszna w swoim tanim ubraniu z czarnej wełny, z tanią, szarą, tekturową walizką. „Po prostu zacznij – pomyślała. – Po prostu się przywitaj, reszta sama przyjdzie”.

– Pan Ralph Truitt? Jestem Catherine Land.

– To nie pani. Mam jej zdjęcie.

– Należy do kogoś innego. Do mojej kuzynki Indii.

Czuł na sobie wzrok mieszkańców miasteczka, oczy zauważające każdy szczegół, cały ten podstęp. To było nie do zniesienia.

– Potrzebny pani płaszcz. Nie jesteśmy w mieście.

– Mam tylko to. Przepraszam. Za fotografię. Przepraszam, wszystko wyjaśnię.

Znowu oszustwo wobec całego miasteczka, ośmieszenie go przy wszystkich. Serce biło mu gwałtownie, nogi miał jak z waty.

– Nie możemy stać tutaj do nocy. Kimkolwiek pani jest, proszę dać mi walizkę.

Wyjął dłoń z kieszeni. Przez ułamek sekundy czuła jej ciepło.

– Tylko tyle? Nic więcej?

– Mogę wyjaśnić. Niedużo wzięłam z sobą. Myślałam...

– Nie możemy stać tutaj w śniegu, na oczach... nie możemy tu stać. – Patrzył na nią chłodno, bez śladu sympatii. – Cała ta sprawa zaczyna się od kłamstwa. Niech pani nie myśli, że nie rozumiem.

Wyciągnął z kieszeni zdjęcie i pokazał jej, jakby w ten sposób mógł zmienić Catherine w tamtą bojaźliwą, nieatrakcyjną kobietę.

– Nie wiem, kim pani jest, ale nie tą osobą.

– Wszystko wyjaśnię. Nie przyjechałam tutaj, żeby z pana zadzwic.

– Oczywiście. To się pani nie uda. Tak czy inaczej, jest pani oszustką.

Odwrocił się, a ona poszła za nim przez opustoszały peron do powozu. Konie grzebały kopytami w śniegu i wypuszczały z nozdrzy kłęby pary, gdy układał walizkę i zabezpieczał grubymi rzemieniami. Bez słowa pomógł Catherine zając miejsce. (...)

Poprzez śnieg widziała bezkresne płaskie pola po jednej stronie, po drugiej – szeroką rzekę skutą lodem. Posępna i bez życia.

Myślała o blasku miasta, o nieustannym ruchu, o piwiarniach jasno oświetlonych w zimowe wieczory, o muzyce, o śmiechu, o dziewczynach przypinających kapełuszki i szukających przygód. Śmiały się, siedząc przy kominku z mężczyznami, którzy pisali do nich miłosne listki. Jadły pieczeń, piły szampana i biegały po mieście w sukniach podkasanych do kolan, przez zaspy, rozśmiane dziewczyny przyciągnięte ciepłem karcianych stolików i ognia, i muzyki, i towarzystwa.

Tutaj, z dala od świateł miasteczka, nic nie mąciło ciszy. Nie było niczego oprócz nich, powozu i lamp olejowych rzucających blask na drogę.

Rzeka wydawała się twarda jak żelazo.

Myślała o dziewczynach z teatrów rewiiowych. O mężczyznach z taliami kart w kieszeniach i rewolwerami wsuniętymi za cholewy butów. O leniwie słodkiej atmosferze palarni opium, jej miłym ciepłem, gdy noc była za zimna, by przenieść się gdzie indziej, o Chińczyku budzącym filiżanką herbaty, gdy minęła burza, nadszedł świt lub skończyły się pieniądze. O tej porze kursowały już tramwaje, wioząc ludzi, normalnych ludzi, do pracy. A dziewczyny śmiały się beztrudnie, świadome, jak okropnie wyglądają po nocy.

Tysiące mil. Inne życie, inna noc, tysiące mil z biegiem gładkiej czarnej rzeki do pełnego dźwięków i świateł miasta. Jej przyjaciółki ubrały się już na wieczór, muzyka ogarniała je w ich pięknych sukniach, a one śmiały

się z jej szaleństwa. Dla nich była przeszłością. Nie miały pamięci.

Jeleń wystrzelił znikąd, wierzgnął wystraszony i natychmiast zniknął. Przez sekundę widzieli jego przerażone oczy, poroże śmigające obok końskich boków. Świat pograżył się w białym chaosie.

Konie odskoczyły w popłochu, szarpnęły powóz na bok, niemal go przewróciły i rzuciły się na oślep naprzód. Catherine usłyszała pojedyncze przenikliwe rżenie, jakby krzyk – i już gnały przed siebie, gryząc wędzidła, pryskając kawałkami lodu z rozwianych grzyw, a Ralph, porwawszy się z miejsca, z całej siły ciągnął za lejce. Przeszył ją dreszcz grozy. Tego nie przewidziała.

Konie skręciły gwałtownie, ściągnając ich z drogi, koła zachręściły w świeżym śniegu jak ostrza tnące kość. Przedarli się przez wąskie ogrodzenie, a dalej był już tylko zamęt, Ralph wsparty jedną nogą o przód powozu, nawołujący konie, mocujący się z nimi, miotający przekleństwa, mróz wydawał się jeszcze sroższy, a Catherine, struchlała, uczepiona desek siedzenia, znieruchomiła z lęku, poczuła szarpnięcie: wpadli w koleinę, wyrwę po jakimś jesiennym strumyku, i Ralph runął w dół, wypuszczając lejce. Zobaczyła jeszcze, jak uderza głową o żelazną obręcz koła – i powóz, rozchybotany, pędził dalej zygzakiem, ciągnięty przez znarowione konie, coraz dalej od drogi, ku czarnej rzece.